

Samo życie – wielkanocne świnioobicie

26 marca 2016

Do śmietnika podjeżdża pękata śmieciarka. Na zderzaku siedzi duży, pluszowy miś z przekrzywioną głową, przywiązany niewidocznym drutem. Obok pajac ze spuszczonej nogami bujającymi się w rytm kołysania samochodu na nierównościach terenu. Do osłony silnika przymocowana zardzewiała podkowa. To na szczęście.

Lata siedemdziesiąte. Polska rośnie w siłę, a ludziom żyje się dostatnio. Szybko rośnie konsumpcja, więcej jest odpadków. Paradoksalnie, choć dziś w porównaniu z okresem gierkowskim cała wieś i duża część miasta żyje znacznie gorzej, a obszary nędzy rozrastają się jak w Kalkucie czasów Gandhiego, to śmieci jest jeszcze więcej niż za Gierka. Wytłumaczenie tego fenomenu jest proste: kiedyś przynosiliśmy ze sklepów artykuły doskonałej jakości opakowane w byle co, teraz przynosimy byle co w dziesiątku zbędnych opakowań.

Dawniej butelki, makulatura i złom były w cenie. Dlatego po bokach śmieciarki wisiały wielkie, druciane kosze. Było też duże pudło na chleb, który już wtedy zaczął się walać po śmietnikach. Zawsze coś się znalazło, codziennie wpadał świeży grosz. Pieniędźmi ze sprzedaży surowców wtórnych, dzielili się równo. Nigdy nie było nieporozumień. Doskonale zgrana załoga. Oto Franek – najstarszy, już po czterdziestce. Siedzi za kierownicą i ćmi papierosa. Hubert i Mundek, to ładowacze. Wyjmują z pojemników kilka butelek, jakiś aluminiowy czajnik z urwanym uchem i dalej. Na następne podwórko.

Franek zrobił w wojsku prawo jazdy. Sprzedał gospodarstwo po rodzicach, bo praca na roli go nie pociągała, a w miastach kadrowcy bili się o każdego pracownika. Na przedmieściach Warszawy kupił dom z ogrodem i żył jak u pana Boga za piecem.

Ale jako gospodarski syn, musiał mieć jakiś inwentarz. Trzymał więc króliki i kilka kurek. Przywoził codziennie z pracy suchy chleb i to była podstawowa karma jego trzódki.

Hubert, najmłodszy z załogi, pochodził ze Śląska. Wojsko odpracował w kopalni. Kiedyś poznał dziewczynę z odległych stron i zadurzył się bez pamięci. Ona o zamieszkaniu w familokach na zadymionym Śląsku nie chciała słyszeć, więc Hubert chcąc nie chcąc, stał się mieszkańcem starej, choć wygodnej chaty na warszawskim Służewcu. Dokoła budowano osiedla mieszkaniowe i kilka nowoczesnych fabryk, ale drewniana, solidna chałupa otoczona sadem i kilka innych sąsiednich domostw zanurzonych w ogrodach trwały jak oaza spokoju i zieleni wśród betonowej Sahary. Tylko Mundek, warszawiak z dziada pradziada mieszkał w blokowisku.

Zżyła się ta trójka. Po pracy spotykali się czasem na różnych uroczystościach rodzinnych. Razem pracowali i razem świętowali. Naturalnie ich rodziny również były zaprzyjaźnione.

Późną jesienią Franek i Mundek przyszli z żonami na imieniny Huberta. Przynieśli w prezencie...prosię. – Chleba w śmietnikach jest tyle, że wystarczy dla moich kur i dla twojego prosiaka – powiedział Franek.

– Będzie rósł jak na drożdżach, a na Wielkanoc... Mundek wykonał znaczący ruch palcem po szyi, po czym lekko wysunął język i przewrócił ślepiami tak, że błysnęły białka oczu, a źrenice zniknęły gdzieś w oczodołach.

Hubert musiał wyciepać (jak gwarowo mówił) stare, niepotrzebne kłamoty z chlewika, by zrobić miejsce dla prosięcia. Świnka rosła rzeczywiście szybko i przybierała na wadze. Zbliżała się Wielkanoc. W sklepach tasiemcowe kolejki, w domach generalne porządki. Jak Polska długa i szeroka, rozchodzi się odgłos trzepania dywanów. Basia, żona Huberta umyła już okna, wypastowała deski podłóg. Tego roku nie musi uganiać się, by

kupić kawałek wędliny. Franek będąc jeszcze na wsi, nauczył się masarstwa od swojego stryja. Teraz robi kaszanki i salcesony, a Mundek uwędzi kiełbasy.

Nadszedł wreszcie dzień na który wszyscy czekali. Ranek był rześki i słoneczny. Hubert przygotował wszystko jak należy. Stół w ogrodzie, wiadra, miski, a w kącie sadu ustawił starą beczkę do wędzenia. W tajemnicy przed żoną kupił kilka butelek wódki. Chłodzi ja teraz w wiadrze przy studni.

Usiedli przy stole. Hubert rozlał wódkę do musztardówek. Wypili, parsknęli i zakąsili. Hubert polał jeszcze raz i jeszcze.

– Cóżęśta tacy markotni? – Zarozki Froncik chyci siekira, pierdyknje wiprzka w cylinder i bierymy się za robota – zaczął rozmowę Hubert.

– Ja?- Przecie ja nigdy świni nie ukatrupiłem!- Wyroby, to ja owszem zrobię, ale zabić – nie zabiję! Toć to u mnie nawet kurę, to Jadzia zabija!

No tak. Tego nikt nie przewidział. Dwie pary oczu skierowały się na Mundka.

– Ja?- Ja świni nie zabiję! – Nie potrafię. Co innego szczur. Szczury to szkodniki, ale świniak – stworzenie Boże!

– Szczury to szkodniki?! Zaprotestował Hubert. – Jakbych tak pedzioł na kupalni, to bych ci gwarki do rzyci nakopali! Nimo pożyteczniejszygo stworzynio. Jak szczury so na przodku, to gut. Kaj uciekajo, to trza ciepnoc kilof, łopata i spiprzoć za szczurami ile sił w nogach. Ony czujo każde zagrożynie, metan tyż.

– A czyja to świnią? Teraz solidarnie natarli Franek z Mundkiem.

– Patrzą na tę świnię i tak sobie myślę – zaczął nieśmiało Mundek. – Ona wesoło pochrumkuje i wcale nie przeczuwa tego

co, co ma nadejść...

A niby co ma nadejść? Sarkastycznym tonem zapytał Hubert. Atmosfera stała się jeszcze bardziej nieznośna. Raptem zza płotu rozległ się znajomy głos: – Szczęść Boże! – Krzyknął stary Gugała przyglądający się zza płotu łakomym wzrokiem libacji.

– Bóg zapłać! – Ochoczo odpowiedzieli mężczyźni, bo wszyscy pomyśleli o tym samym.

– Ićże no tu dziodek! – Zaprosił Hubert. – Damy starzykowi trocha krupnioku i słoniny – szepnął, a on za nas...

Gugała ochoczo zasiadł przy stole i wychylił musztardówkę, później drugą. Trochę posiedzieli, pogadali.

– No bierzcie się dziadku do roboty! – Zarządził któryś.

Staruszek ujął drżącymi rękami siekierę i...trach!

Dzisiaj nikt już nie dojdzie czy dziadek miał za mało siły, czy też świnia poruszyła się niespodziewanie. Faktem jest, że obuch toporka tylko drasnął głowę wieprzka i lekko zdarł naskórek. Świnia szarpnęła się gwałtownie i kwicząc przeraźliwie ruszyła przed siebie z łatwością wrywając kołek z ziemi, do którego była przywiązana. Truchtem przebiegła obok kupy gnoju i dziurą w płocie, szorując brzuchem po ziemi ledwo przecisnęła się na podwórko. Chciała umknąć do chlewika, gdzie zawsze było jej dobrze i ciepło, gdzie nigdy nie spotkało jej nic przykrego. Tam było jej miejsce azylu.

Mundek okazał się jednak szybszy i stanął w drzwiach chlewu zagradzając drogę. Świnia zaryła raciczkami w ziemi i zatrzymała się. Ze wszystkich stron, otaczali ją ludzie. Nie było już drogi ucieczki, tylko drzwi do chałupy stały otworem. Z impetem wpadła do domu, a Hubert z kołkiem w ręku za nią.

Franek i Mundek stali przerażeni słysząc łomot przewracanych mebli, brzęk tłuczonego szkła, rumor toczących się wiader,

spadających garów. Wrzaski i przekleństwa Huberta przerywał donośny kwik świni. Wszystko to trwało chwilę, ale biorąc pod uwagę ogrom szkód, na tyle długo, aby mężczyźni pożałowali dnia, w którym kupili warchlaka na targu.

Kiedy dzieło zniszczenia dokonało się zupełnie, świnia okręcona zerwaną firanką wybiegła z ludzkiego mieszkania i pognała do chlewika. Nikt już jej nie zagrażał drogi. Stary Gugała również pierzchnął zawstydzony, zapominając zamknąć furtkę na haczyk. Franka, kiedy bardzo się zdenerwował, zaczynał boleć brzuch. Tym razem także dostał boleści i udał się do wychodka pamiętającego jeszcze czasy zaborów.

Mundek stał na podwórku i nie wiedział, co ma ze sobą zrobić. To był potężny, barczysty mężczyzna, ale w tym momencie nie chciał podchodzić pod rękę przyjaciela, który nadal szalał i przeklinał w starym wiejskim domu, zawsze zadbanym, a teraz wyglądającym jak po trzęsieniu ziemi.

Ślązak przestał już myśleć o schabach i wędzonych kiełbasach z czosnkiem. Teraz spasiony wieprzek stanowił śmiertelnego wroga. Przeciwnika, do którego pała się żądzą krwawej zemsty nie licząc ze stratami, a nawet utratą życia. Kiedy pracował w kopalni, zwędził łaskę dynamitu, tzw. setkę. Był to najsłabszy ładunek, a Hubert podprowadził go tylko dlatego, że koledzy służący w normalnym wojsku przywozili różne cacka, aby pochwalić się młodszym chłopakom. Przeważnie były to naboje, granaty ćwiczebne, petardy itp.. Nasz bohater nie chciał być gorszy. Właściwie wyprowadzając się ze Śląska miał zamiar wyrzucić swoją nietypową pamiątkę do glinianki, ale jak to Polak – wszystko się przyda. No i nadszedł ten dzień. Dlatego teraz wywalał wszystko z szuflad, gdzie trzymał swoje rzeczy, pościągał z szafy stare walizy. Gorączkowo szukał śmiercionośnej łaski, a kiedy wreszcie ją znalazł, przestał na chwilę złorzeczyć i przeklinać. Podniósł przewrócone krzesło i usiadł rozglądając się po poboju, które jeszcze rano było schludnie wysprzątanym pokojem stołowym. I nagle zaczął śmiać się złowieszczo. Wybiegł z chałupy, zaciągnął Mundka do

ogrodu. Napili się wódki, później oranżady. Na chwiejnych nogach udali się do chlewika. Wywlekli świnie z powrotem do sadu. Kiedy Hubert przywiązał ją do najgrubszego drzewa za nogę stalową linką, Mundek odważył się znowu przemówić.

– Huberciku, ty popatrz w oczy tej świni. Ona na prawdę nie przeczuwa śmierci!

– Jo jej zarozki przeczuja, psio jucha, jak tylko lont podpale!

Dynamit Hubert przykleił plastrem opatrunkowym do łba świni. Po podpaleniu lontu, obaj ładowacze musieli oddalić się kilkanaście metrów. Udali się więc znowu w stronę prowizorycznego stołu. I nagle, palący lont zaczął parzyć świnie. Ponownie zaczęła przeciągle kwiczeć, ale i tym razem nie miała żadnych kłopotów z ucieczką, bo stalowa, sprężysta linka się poluzowała i świnia oswobodziła się bez wysiłku. Idący szybko mężczyźni odwrócili się jednocześnie w momencie, kiedy stwierdzili, że ich ofiara zmienia bardzo szybko pozycję. Całkowicie osłupieli. Oto świnia z palącym się lontem uciekała tą samą drogą co poprzednio, z tym, że teraz rozwijała prędkość torpedy. Zresztą wyglądała jak żywa torpeda. Znowu dopadła dziury w płocie, tylko, tylko tym razem przeciskając się przez mały otwór, zerwała plaster i zgubiła dynamit przy kupie gnoju.

Detonacja nastąpiła chwilę po tym, jak za dziurą zniknął zakręcony w spiralę ogonek. Ponad dwa metry starego płotu rozleciało się w drzazgi. Kupa gnoju wyleciała w powietrze i opadła porozrzucona w promieniu kilkunastu metrów, cętkując śnieżnobiałą pościel suszącą się w promieniach marcowego słońca. Stara sławojka, choć przeżyła dwie wojny, tym razem nie wytrzymała. Stare, spróchniałe deski rozsypały się w drobny mak. A Franek? No cóż, Franek zarobił kilka zadrapań oraz siniaków i nie byłoby o czym mówić, gdyby nie przytrafiło mu się coś gorszego. Kierowca śmieciarki gołym tyłkiem wpadł do dołu kloaczego.

Tego wszystkiego było już za wiele. Hubert chwycił siekierę i przez wyrwę w płocie ruszył w pogoń za uciekającą świnia. Prześladowane zwierzę uznało, że chlewik nie jest już miejscem bezpiecznym i przez uchyloną furtkę wybiegło na ulicę. Świnia popędziła prosto na oślep nie mając zamiaru się zatrzymywać. Obok pętli tramwajowej, słysząc tuż za sobą sapanie człowieka, przebiegła przez dwupasmową jezdnię. Hubert z siekierą w rękach za nią. Kierowcy widzący niecodzienny pościg, hamowali gwałtownie. Przeraźliwy pisk opon i klaksony rozdarły ciszę w dotychczasowej oazie zieleni i względnej ciszy. Wielka ciężarówka z cegłą, której kierowca nie mógł gwałtownie zahamować, wpadła do rowu i przewróciła się na bok. A świnia nawiewała dalej przez wertepy i krzaki głogu, pokwikuując od czasu do czasu. Opuszczała chlewik i koryto na zawsze. A Hubert w krzakach pokaleczył ręce i twarz, podarł koszulę.

Biedny spracowany człowiek patrzył z wściekłością i rozpaczą, jak oddalają się od niego gołonki wprowadzające w płynny ruch dwie kształtne szyneczki. Widział jak trzęsą się boczki i schabiki, jak dygocze słoninka na cienkich nóżkach, które miały znaleźć się w salaterkach, w pysznej galaretce. Oto uciekał przed nim suto zastawiony świąteczny stół.

W pewnym momencie świnia zbiegła z nasypu na tory kolejowe. Zdążyła przebiec tuż przed elektrycznym pociągiem osobowym. Syk sprężonego powietrza i drzwi otworzyły się. Hubert nie zauważył, że obiekt jego nienawiści, a zarazem zbiór zakąsek wszelakich umknął na peron małej stacyjki. Sam zaś z rozpędu wbiegł na drugie tory. Po nich właśnie zbliżał się z ogromną prędkością pośpieszny trąbiąc przeciagle, bo maszynista zobaczył na torach człowieka z siekierą. Zdezorientowany Ślăzak obrócił się dwa razy wokół własnej osi, dostrzegł zbiega i wbiegając na peron, ruszył w dalszy pościg. Świnia znalazła się w potrzasku, bo koniec peronu okalała siatka. Kiedy pośpieszny z wielkim hukiem pędził po torach, wystraszona świnia wskoczyła przez otwarte drzwi do wagonu pociągu osobowego.

W tym czasie kierownik pociągu zauważył z przerażeniem szybko zbliżającego się zakrwawionego mężczyznę z pianą na ustach, o obłądnym wzroku i z siekierą w ręku. Człowiek coś krzyczał, ale pośpieszny zagłuszał jego słowa. Kolejarz nie czekał. Szybko zamknął drzwi i dał sygnał odjazdu.

Hubert opuścił ręce i patrzył na odjeżdżający pociąg podmiejski. Na tablicy informacyjnej umieszczonej na ostatnim wagonie przeczytał napis: RADOM.

Okazuje się, że świnia jest zwierzęciem bardziej przyzwoitym od wielu ludzi. Straciła nie tylko koryto, ale chlew także. Nie założyła KOD-u, tylko emigrowała. A ci co stracili koryta i czują się tacy pokrzywdzeni w Polsce założyli KOD. Emigrować nie chcą. Dlaczego? Bo w Izraelu sądy karzą złodziei, aferzystów i łapówkarzy!

Autorstwo: Cezary Piotr Tarkowski

Źródło: Wolna-Polska.pl